

Właśnie wróciłeś do Polski...

Dosłownie wczoraj, z Ameryki Środkowej.

Co tam robiłeś?

To była kolejna wyprawa w ramach Projektu 100 Wulkanów. Chcę - jak się łatwo domyślić - zdobyć ich sto, ale nie pierwszych lepszych. Przynajmniej połowa z nich musi być aktywna, a wszystkie nieprzeciętne, inne od innych, starannie wyselekcjonowane, wyjątkowe pod względem klimatycznym, sejsmologicznym, czy wspinaczkowym. To musi być dokładnie sto tych wulkanów, które mnie satysfakcjonują. Moją największą wadą jest perfekcjonizm, walczę z nim, lecz bezskutecznie, więc póki co, chcę być z tej setki zadowolony. Na samej Etnie jest ponad trzysta kraterów, każdy *de facto* jest wulkanem, mógłbym zatem pojechać tam na miesiąc i błyskawicznie obwieścić zakończenie Projektu, ale tak zrealizowany byłby dla mnie bezwartościowy.

Skąd pomysł na ten Projekt?

Przyszedł mi do głowy nagle, w roku 2006, na dzień krateru Khorgo w Mongolii. Wulkany pasjonowały mnie od dawna, interesowałem się geologią, jako dzieciak biegałem po śląskich, dymiących hałdach i marzyłem o zobaczeniu prawdziwego wulkanu. A to z polskiej perspektywy jest dość trudne, gdyż najbliższe znajdują się tysiące kilometrów stąd. Khorgo był moim pierwszym wulkanem, wprawdzie nieaktywnym, wygasłym, lecz "prawdziwym". Jako jedyny z całej grupy zszedłem na dno krateru, tam wpadłem do jakiejś dziury, potłukłem się, wygramoliłem z trudem; byłem cały poobijany, ale szczęśliwy. Spodobało mi się, więc postanowiłem, że zdobędę jeszcze 99. Nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia na co się porywam. Stwierdziłem tylko, że sto wulkanów brzmi fajnie i tyle. Nie przeszło mi przez myśl, że projekt tak się rozrośnie. Nie przypuszczałem, że będzie przygodą życia. Nie wiedziałem też jak mało znane są wulkany, jak mało o nich wiemy i jak niewiele osób zajmuje się nimi, bada je i eksploruje. Na początku najważniejszy był dla mnie wymiar przygodowy i wspinaczkowy. Traktowałem wulkany jak góry, były dla mnie wyzwaniem, zdobywałem je. Równocześnie jednak zdobywałem wiedzę o nich i stopniowo uświadamiałem sobie, jak niezwykłym są miejscem do badań i odkryć. Teraz najistotniejszy jest dla mnie aspekt naukowo - eksploracyjny Projektu. Znam wulkany, na których wierzchołku było przede mną zaledwie kilku ludzi, wiele zdobyłem jako pierwszy Polak, z wielu mam absolutnie unikalne materiały fotograficzne i filmowe. Projekt jest przewidziany na 25 lat.

Ćwierć wieku? Dlaczego aż tyle?

Bo dotychczas udawało mi się zdobywać średnio cztery - pięć wulkanów na rok. Rachunek jest więc prosty. Nie zależy mi na szybkości, lecz na jakości Projektu. Mam w nim dwie kategorie - główną i pomocniczą. Do głównej trafiają te spośród zdobytych przeze mnie wulkanów, które uznaję za wartościowe i zaliczam do honorowej setki. Natomiast w tabeli pomocniczej uwzględniam tak zwane "inne miejsca wulkaniczne" - pola lawowe, jaskinie wulkaniczne, obszary gejzerów oraz mniej istotne wulkany - niezbyt ciekawe, zbyt łatwo dostępne lub podobne do tych, które zdobyłem już wcześniej. Zakwalifikowanie do właściwej kategorii wymaga analizy, z ostatniej wyprawy "przywiozłem" 16 wulkanów, ale jedynie połowa trafi do głównej tabeli.

Mija półmetek, trzynasty rok realizacji Projektu. Czy zdobyłeś już połowę, czyli 50 wulkanów?

Nawet nieco więcej, bo: 58, w tym 40 aktywnych, na niektórych byłem wielokrotnie. W tabeli pomocniczej jest 120 pozycji.

Jaka jest definicja aktywnego wulkanu?

Definicji jest bardzo dużo. Każdy instytut wulkanologiczny ma swoją, a lokalne społeczności swoje. Są teorie, według których za aktywny można uznać taki wulkan, który wybuchł w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Dla mnie jednak aktywny jest ten, który wybuchł w naszej erze, ale gdy erupcja była dawniej niż pięćset lat temu, przechodzi w fazę uśpienia. Za wyjątkiem superwulkanów, których erupcje mogą następować nawet co siedemset tysięcy lat. Z kolei autochtoni, uznają za aktywne te wulkany, których erupcję pamiętają sami, lub słyszeli o niej od swoich rodziców.

A ile jest na świecie aktywnych wulkanów?

I w tej kwestii źródła nie są zgodne, tym bardziej, że na dnie oceanów wciąż mogą znajdować się nieodkryte. Szacuje się, że wszystkich aktywnych jest na kuli ziemskiej pomiędzy 800, a 1200.

Jak przygotowujesz się do wyprawy?

Przede wszystkim teoretycznie, długo i bardzo starannie; w tej kwestii też jestem perfekcjonistą. Staram się zdobyć jak najwięcej informacji o wulkanach, które planuję zdobyć, czytam książki, przeglądam gigabajty materiałów, analizuję zdjęcia satelitarne. Dobre przygotowanie procentuje, pozwala podczas wyprawy nie tracić czasu na "odkrywanie Ameryki", wole odkrywać wulkany. Natomiast kondycyjnie przygotowuję się nie muszę, gdyż wciąż dużo jeżdżę, wspinam się, więc jestem w dobrej formie.

Czy są dostępne jakieś prognozy pozwalające Ci przewidzieć aktywność wulkanu?

Nie, żadne prognozy nie przewidują erupcji w sposób gwarantujący bezpieczeństwo, wielu wybuchów w ogóle nie zwiastują typowe, "podręcznikowe" zjawiska: drobne wstrząsy sejsmiczne, większe ilości wydobywających się gazów, czy deformacje krateru. Najlepszym tego przykładem jest wulkan Ontake w Japonii, aktywny, ale uchodzący za przewidywalny, więc często odwiedzany przez turystów, który w roku 2014 eksplodował tak nagle, że na jego stokach zginęło ponad 60 osób. Zawsze powtarzam, że nawet spacerowicze na Wezuwiuszu muszą się liczyć ze śmiercią. Oczywiście, na niektórych wulkanach prawdopodobieństwo wybuchu jest większe, na niektórych mniejsze, lecz absolutnie bezpiecznych, wśród aktywnych, nie ma.

Zdobywasz każdy wulkan od podstawy, czy starasz się podjechać jak najwyżej?

Różnie z tym bywa. Zazwyczaj próbuję dojechać tam, gdzie to możliwe. Koszty transportu pochłaniają znaczną część funduszy każdej wyprawy. Najczęściej wynajmuję samochód terenowy z kierowcą, który zawozi mnie we wskazane miejsce i wraca w umówionym terminie, po kilku dniach, lub tygodniach. Oczywiście mam prowiant i ekwipunek na cały ten okres.

Co ze sobą zabierasz?

Ekwipunek stricte wulkaniczny to tylko kask, rękawice, gogle, maska, zapasowe pochłaniacze, termometr z sondą, czujnik tlenu węgla i laserowy miernik temperatury. To wszystko, bo nikt nie produkuje lekkiego sprzętu nadającego się na wulkany. Po każdej wyprawie wymieniam praktycznie cały dobytek, w tym aparaty fotograficzne i kamery, gdyż pył wulkaniczny, pomimo najszczelniejszych obudów, niszczy je szybko i bezpowrotnie. Podłoga namiotu po kilku nocach jest dziurawa jak ser szwajcarski, plecak po kilku dniach mam podarty, spodnie w strzępach, buty stopione. Na każdą wyprawę zabieram nowy sprzęt.

Co jest najtrudniejsze w zdobywaniu wulkanów?

Zdobywanie pozwoleń... (*śmiech*). Na większość wulkanów wchodzić po prostu nie wolno. Przepisy są restrykcyjne, zakazy bezwzględne. Nawet naukowcy muszą miesiącami starać się o pozwolenia. Ja nie mam tyle czasu. Pokonanie przeszkód organizacyjnych, formalnych i prawnych potrafi być tak uciążliwym zadaniem, że wolę te przeszkody ominąć... Złapią mnie, albo nie. Dotychczas nie złapali... (*śmiech*). Zakazy te nie są jednak bezpodstawne, gdyż mają chronić turystów, którzy próbują zdobywać wulkany bez najmniejszego przygotowania, wiedzy i doświadczenia. Wiele takich wycieczek zakończyło się śmiercią.

A pomijając bariery formalne, z jakimi trudnościami musisz się zmierzyć po drodze?

Jest ich mnóstwo, różnego typu, wszystko zależy od wulkanu. Ostatnio przedzierając się przez las tropikalny na wulkan Poas w Kostaryce, pokonanie kilku kilometrów zabrało mi cztery dni. Na wulkanach złodowaconych zdarzało mi się wpadać do szczelin, a ponieważ chodzę sam, więc ryzyko było poważne. Mam więcej szczęścia, niż rozumu, bo nie tylko udało mi się samodzielnie wydostać, "otrzepać" i pójść dalej, ale także zdobyć zaplanowany szczyt, to było igranie z losem. Widywałem lawiny śnieżne, które jakimś cudem omijały mnie. Zjeżdżałem oblodzonymi żlebami po kilkaset metrów, bez poważnych kontuzji. Zsuwałem się z lawinami rumoszu wulkanicznego, nie robiąc sobie krzywdy. Sam nie wiem jak udało mi się wyjść bez szwanku z tych wszystkich opresji. Czasem mam wrażenie, że czuwają nade mną jakieś nadprzyrodzone moce. Kuszę los straszliwie, a on wciąż jest łaskawy dla mnie. Ostatnio na wulkanie Fuego podszedłem zbyt blisko krateru i podczas erupcji przeżyłem bombardowanie kawałkami lawy. Dosłownie przeżyłem, bo gdyby jakiś trafił we mnie, to nie rozmawialibyśmy tu dzisiaj. Co jeszcze? Niekiedy już sama wysokość bywa niebezpieczna. Dużo czasu spędziłem, w rejonie najwyższych wulkanów świata - Ojos del Salado, Pissis, Llullaillaco - tygodniami nie schodziłem poniżej 6000 metrów, a tam ryzyko wychłodzenia, odmrożeń, czy choroby wysokościowej jest znaczne. Byłem sam więc na żadną pomoc liczyć nie mogłem. A i wspinaczka po zboczach wulkanach bywa bardziej męcząca, niż po utartych szlakach; stoki klasycznych, stożkowatych stratowulkanów pokrywa sypki rumoszcz, sięgający niekiedy pasa. W takich warunkach, pokonanie pięciuset metrów wysokości potrafi trwać dziesięć godzin; trudno wtedy oprzeć się wrażeniu buksowania w miejscu.

A jak już wyjdiesz na wierzchołek, to co tam robisz?

Sam wierzchołek ma dla mnie znaczenie drugorzędne, chociaż bywa czasem wyzwaniem górskim, jak w przypadku trzykrotnego wejścia na obydwie

wierzchołki Ojos del Salado - argentyński i chilijski, czy zdobycia trzech wierzchołków drugiego wulkanu świata – Pissis (Argentyna). Na niższych wulkanach interesują mnie przede wszystkim objawy ich aktywności, szukam fumaroli, szczelin i pęknięć, szukam śladów erupcji i lawy, mierzę temperaturę wyziewów wulkanicznych, sprawdzam wielkość krateru, jego obwód, średnicę, głębokość; fotografuję i filmuję - niekiedy jest to pierwsza dokumentacja tych miejsc. Zbieram próbki skał, które wysyłam zaprzyjaźnionym naukowcom. Uważnie eksploruję też całą okolicę. Tam jeszcze można być pionierem eksploracji i odnosić sukcesy. Na przykład penetrując rejon wulkanu Ojos del Salado - najwyższego na Ziemi - dotarłem do pola geotermalnego położonego na wysokości 6500 m n.p.m. Jestem chyba jedynym człowiekiem, który ma zdjęcia stamtąd. Przy okazji dotarłem do trzech wyżej położonych jezior, nich dotychczas znane światu. Ustaliłem też, że najwyższym aktywnym wulkanem na ziemi jest Llullaillaco i zaktualizowałem jego wysokość, która wynosi 6755 metrów. Zresztą w przypadku najaktywniejszych wulkanów ona się zmienia, jak w przypadku Nowego Krateru Południowo-Wschodniego Etny, w ciągu dziesięciu lat urósł o około trzysta metrów.

Schodzisz czasem także do wnętrza kraterów?

Tak, byłem nawet na dnie słynnego, aktywnego wulkanu Anak Krakatau. Bardzo niebezpieczne zadanie, totalny brak atmosfery do oddychania, tylko maska przeciwgazowa trzymała mnie przy życiu, fantastyczne doświadczenie i materiały - absolutnie unikalne. Przypuszczam, że jestem pierwszym człowiekiem, który tam zszedł.

Jak tam jest?

Nieziemsko. Dosłownie, bo w kraterach aktywnych wulkanów z setek szczelin wydobywają się kłęby trujących gazów, śmierdzi siarką, nie można tam wejść bez maski. Umrę jeżeli mi spadnie lub źle ją założę. Czuję się tam jak na innej planecie. Temperatura wyziewów wulkanicznych sięga do pięciuset stopni, muszę bardzo uważać i umiejętnie lawirować między nimi. A w chmurach gazu niewiele widać... Co więcej, za dnia nie widać też lawy w otworach, to bardzo groźna pułapka, dopiero nocą można zauważyć czerwoną poświatę. Fumarole dymią, gaz szczypie w oczy, więc muszę mieć założone gogle, które dodatkowo ograniczają widoczność. Wnętrze krateru pełne jest ruchomych skał, szczelin i rozpadlin. Muszę tam być maksymalnie skoncentrowany.

Nie boisz się?

Brakuje mi w mózgu bezpiecznika odpowiadającego za strach. Owszem, mam świadomość, że mogę zginąć, wiem, że ryzykuję, ale nie zniechęca mnie to i nie powstrzymuje. Himalaiści mówią, że tylko głupi się nie boi. To znaczy, że jestem głupi; nie czuję strachu i już, nic na to nie mogę poradzić. Przed każdą wyprawą powtarzam sobie - *Grzegorz, dbaj o siebie, nie szarżuj, nie ryzykuj za bardzo* - a po powrocie stwierdzam, że znowu mi się nie udało... (*śmiech*). Na wulkanach mam zupełnie absurdalne poczucie bezkarności i niezniszczalności, chociaż wiem, że za sekundę mogę już nie żyć. Na wulkanach chcę zajrzeć tam, gdzie rozsądek nie sięga, to jest silniejsze ode mnie.

Jakim największym zagrożeniem musiałeś sprostać?

Wbrew pozorom nie tylko tym, związanym bezpośrednio z wulkanami, jak nagłe

erupcje, kruche skały, czy bombardowanie odpryskami lawy. Spotykałem tygrysy, znajdowałem jadowite węże i skorpiony w namiocie, piłem wodę niezdatną do picia, doświadczyłem, ślepoty śnieżnej, odmrożeń, huraganowych wiatrów.

Zdarzyło Ci się kiedykolwiek uciekać?

Tak, nawet ostatnio, na wulkanie Fuego. Ale nigdy nie uciekałem daleko i na długo, zawsze wracałem z powrotem.

A zdarzyła Ci się jakaś porażka?

Na wulkanach? Nie. Zawsze realizowałem plan w pełni, a zwykle z nawiązką. Procentuje mój perfekcjonizm, doświadczenie oraz samotność. Znam w środowisku wspinaczy ludzi, którzy jeżdżą w kółko na te same wyprawy, próbują zdobyć w kółko te same szczyty i za każdym razem im się to nie udaje. Dla mnie to rzecz niepojęta. Poza tym sam zarabiam na wyprawy, więc nie stać mnie na ich powtarzanie.

Czemu tak cenisz sobie samotność?

Bo nikt nie jest w stanie sprostać zasadom panującym na moich wyprawach. Mogę nie spać przez kilka nocy, nie jeść, nie pić przez kilka dni, Wędrować w tym czasie bez przerwy. Nie przeszkadza mi wiatr, deszcz i śnieg. Zniosę wszystko, by zdobyć wulkan. Nie znam nikogo tak zdeterminowanego. W grupie zawsze znajdzie się ktoś, kto jest zmęczony, obolały, głodny, niewyspany lub zniechęcony pogodą. Dlatego tyle wypraw się nie udaje. Decyzję łatwiej podjąć samotnie, bez nieporozumień i różnicy zdań. Mój projekt ma szansę na sukces pod warunkiem, że będę realizował go sam. Lubię wszystko robić sam, chociaż wiem, że to ryzykowne. Jakiegokolwiek zaślubienie oznacza śmierć. Jeżeli skręcę kostkę, gdzieś na odludziu, to nie doczołgam się do punktu, gdzie za dwa tygodnie ma przyjechać po mnie samochód. Dawniej nie było mnie stać na telefon satelitarny, więc nie miałem łączności. Dziś nadal mi szkoda pieniędzy na taki wydatek, ale mógłbym sobie na ten luksus pozwolić. Nie chcę jednak, bo cieszy mnie świadomość, że wszystko zależy ode mnie, na nikogo nie mogę liczyć, muszę samodzielnie wybierać optymalne strategie. Stawka jest wysoka, każdy błąd może być ostatni, a to bardzo wyostreza zmysły. Ten projekt bardzo mnie rozwinął, poznałem samego siebie, wiem jak reaguję w ekstremalnych sytuacjach, to bezcenne doświadczenie. Podoba mi się i wciąż chcę więcej.

Twój organizm bez sprzeciwu znosi tak intensywną eksploatację?

Tak. Na górę o wysokości do sześciu tysięcy metrów jestem w stanie wejść "z buta". Jestem odporny na głód, pragnienie, zmęczenie, zatrucia, kontuzje. Badania to potwierdzają. Znajomi mówią o mnie cyborg... (*śmiech*).

Masz swoje ulubione wulkany?

Nie, lecz mam swoje ulubione rejony. Gdyby ktoś chciał zobaczyć na Ziemi Księżyc, to polecam interior Islandii, czarną pustynię z wulkanami i lodowcami. A gdyby ktoś chciał zobaczyć jak wygląda Mars, to zapraszam na płaskowyż Altiplano i Atacama, czerwona bezkresna przestrzeń, stożki wulkaniczne, lodowce, jeziora wysokogórskie - fascynujące miejsca.

Co uważasz za swój największy sukces?

Tylko jeden? Było ich tyle... (*śmiech*). Pionierskie zejście do wnętrza wulkanu Anak Krakatau, bezprecedensowe, samotne zdobycie dziewięciu

sześciotysięcznych szczytów w Andach, pierwsze polskie i jedno z niewielu w historii wejście na bardzo niebezpieczny wulkan Popocatepetl (5424 m n.p.m.) w Meksyku. Mógłbym tak jeszcze długo... Największą satysfakcją jednak sprawia mi świadomość, że nikt na świecie nie ma takiego doświadczenia, jak ja. Jest kilka miejsc, w których byłem pierwszym człowiekiem, a to trudne nawet w Himalajach. Gdybym urodził się trzydzieści lat wcześniej, to postawiłbym zapewne na eksplorację gór najwyższych, lecz teraz nie ma tam już miejsca dla mnie, nie zostało mi tam nic do zdobycia. Wejście jako tysięczna osoba na ośmiotysięcznik nie pociąga mnie. A na wulkanach wciąż mogę czuć się jak Amundsen. Znam ponad stu wulkanologów, w tym wielu bardzo doświadczonych, lecz żaden nie był na tyłu wulkanach, co ja. Większość pracuje w laboratoriach, ma dostęp do najlepszych, płatnych zdjęć satelitarnych i monitoruje wulkany z daleka. Nie wszystko jednak mogą zbadać na odległość, dlatego tak często proszą mnie o fotografie i próbki. A gdy już zorganizują wyprawę, to kosztuje majątek.

A ile kosztowały Twoje?

Najdroższa - sześćdziesiąt tysięcy złotych, najtańsza z większych - piętnaście, sprzętu nie liczę.

Sam je finansujesz?

W większości - tak. Kilka sklepów mnie wspiera, w tym firma Spokey, której jestem ambasadorem. Iexpert Insurance Sport zapewnia mi ubezpieczenie „Bezpieczny Powrót”. W roku 2015, na Kolosach w Gdyni otrzymałem nagrodę imienia Andrzeja Zawady, dzięki której mogłem częściowo sfinansować jedną z wypraw. Każda pomoc jest cenna i bardzo za nią dziękuję. W Polsce jednak zdobywanie sponsorów jest trudne i czasochłonne, więc wolę ten czas przeznaczyć na samodzielne zarabianie pieniędzy. Na razie Antarktyda czy Aleuty są poza moim zasięgiem, lecz kilkanaście lat temu, nie wierzyłem, że będę mógł realizować projekty wyprawowe na taką skalę jak obecnie; dlatego jestem optymistą...

Czy listę czterdziestu wulkanów, które zostały Ci do kompletu masz już gotową?

Nie. Wiem tylko, które rejony chciałbym jeszcze odwiedzić: Kamczatkę, Alaskę, ponownie Oceanię i Indonezję. Cztery i pół wulkanu przypadające statystycznie na ten rok mam "zaliczone", więc następne cztery i pół może spokojnie poczekać.

Grzegorz Gawlik. Urodzony 6.05.1980 w Piekarach Śląskich, podróżnik, alpinista i zdobywca wulkanów, dziennikarz, fotograf, prawnik. Odwiedził blisko sto państw, często wspina się i podróżuje samotnie, organizuje też wyprawy komercyjne. Prowadzi stronę: www.grzegorzgawlik.pl

Wywiad opublikowany w miesięczniku "n. p. m.". Wszelkie rozpowszechnianie i wykorzystywanie wymaga zgody autora oraz Redakcji.